

Łzy płynęły potokami, rozlewając mokry, słony blask na delikatnych anielskich policzkach. Tuż obok, po drapieźnych, ale równie przegranych twarzach diabłów ściekały krople ciemnej krwi. Dostojne istoty, apostołowie dobra i zła, wieczne przeciwieństwa, znów byli tacy sami. Zupełnie, jak przed upadkiem, tyle, że wtedy łączyła ich radość bożej miłości, a teraz cierpienie i beznadzieja.

- Następny! - Darł się potężny łysy barbarzyńca, a dwóch innych brutalnie prowadziło pobitego anioła. Rzucili go twarzą do ziemi. Jeden przygniótł kolanem, drugi mocno trzymał ręce.

- Dawać łańcuch - chrypiał główny oprawca. Ładna, choć tandetnie wymalowana i przebrana dziewczyna przyniosła srebrzący się zwój metalu. Niby niechcący potknęła się i wbiła leżącemu obcas pod zebro. Anioł krzyknął, ale zamiast litości, doczekał się tylko wybuchu gardłowego śmiechu i serii niewybrednych przekleństw.

- Trzymaj mocno - łysy pomógł dziewczynie dobrze złapać i przygiąć pierzaste, śnieżnobiałe skrzydła, po czym zaczął je z całej siły pętać łańcuchem.

- Gotowe, następny...

Mefisto stał w parze ze śliczną anielicą, ale nie myślał o tym, by zawrócić jej w głowie, lub, choć spytać o imię. Szli bez słowa, podobnie, jak setki innych niebiańskich i piekielnych stworzeń. Załadowano ich do towarowych wagonów i zawieziono do wielkiego miasta. Ci słabsi, co chwilę mdleli, niektórzy krzyczeli, wyli z bólu, kilku płakało, reszta cierpiała bez słowa.

Wysiedli na dużym dworcu pełnym spieszących się gdzieś, obojętnych ludzi, szczurów, narkomanów i świecących nachalnie reklam. Ze skutymi, połamanymi skrzydłami, brudni, pokaleczeni i bladzi musieli się wyróżniać, lecz nikt nie poświęcił im więcej, niż kilka sekund uwagi.

Stare autokary powiozły ich do jakiegoś urzędu. Wchodzili pojedynczo, przez szerokie drzwi, które zamykały się zaraz niemiłosiernie skrzypiąc. Nikt nie wychodził.

Mefisto znów zobaczył tę samą anielicę, z którą szedł ostatnio. Była kilka osób przed nim. Podobnie jak pozostali weszła do budynku i już się nie pojawiła. Wreszcie przyszła kolej na niego.

Za drzwiami był zupełnie normalny korytarz. Szttywna panienka w szarym biznesowym kostiumie i okularach, poprowadziła go, do jednego z gabinetów. Tam czekał już młodzieniec o idealnie skrojonym garniturze i nienagannych manierach.

- Kawy, herbaty? - Spytał uprzejmie, lecz Mefisto odmówił kręcąc głową. Nienawidził tego człowieka równie mocno, jak wszystkich pozostałych, a ból, jeszcze tą nienawiść potęgował.

- Rozumiem, że nie ma pan dobrego nastroju. Widzę, że nie traktowano pana dobrze, ale proszę zrozumieć, ciężko jest znaleźć ludzi o odpowiednim podejściu, którzy chcieliby się wami zajmować.

Mefisto wciąż milczał, więc młodzieniec kontynuował tyradę:

- Wszystko, przez to, że was tak dużo, no i przez te skrzydła. Zdecydowaliśmy się was przyjąć, ale nie możecie sobie latać, nie możecie się tak wyróżniać. To chyba oczywiste? Najlepiej byłoby je amputować, ale sam pan wie, że zaraz odrosną, stąd radzimy sobie w ten sposób. Zapewne, to mało komfortowe, ale z pewnością jakoś pan przywyknie. Moja asystentka poprowadzi pana do magazynu. Tam otrzyma pan ubrania, trochę pieniędzy i przydział mieszkaniowy. Czy chciałby pan o coś spytać?

Mefisto po raz kolejny się nie odezwał, więc mężczyzna wezwał asystentkę, która pokierowała diabła dalej...

Z budynku wyszedł zupełnie po drugiej stronie, wprost na ulicę. Miał dzinsy i ortalionową, luźną kurtkę, która dość dobrze tuszowała spętane na plecach, błoniaste skrzydła. W kieszeni miał klucz do mieszkania, a w plecaku kilka konserw, portfel, dokumenty, telefon komórkowy i budzik, który już jutro miał go wezwać do pracy. Powietrze śmierdziało spalinami, a ludzie potem i tanimi perfumami...

Siedział w fotelu, zamknięty w swoim m3, zmęczony po pracy. Popijał nienajlepsze, ale za to mocne piwo i przeglądał brukową gazetę, która skutecznie brudziła mu dłonie i umysł. W kronice wypadków

zobaczył zdjęcie znajomej anielicy. Leżała na chodniku, w nienaturalnej pozie. Napisali, że rzuciła się z wieżowca...

Mefisto czuł się dziwnie. Z jednej strony chciał działać, giąć zasady, buntować się i walczyć, z drugiej było mu wszystko jedno. Otumaniony, szedł ruchliwym chodnikiem i beznamietnie przyglądał się mijającym go ludziom. Obok na ulicy samochody stały w potężnym korku i nienawistnie klęły klaksonami. Z przodu, za czerwono białą wstęgą, robotnicy zupełnie się tym nie przejmowali i specjalną, tarczową piłą rznąli asfalt.

- A gdyby tak...? - Rozpaczliwa, bezsensowna myśl zabrzęczała diabłu w głowie...

Do wieczora siedział w knajpie i sączył piwo. Nikt się do niego nie dosiadł, ale Mefisto właśnie chciał być sam. Dobrze po zmroku, chwiejnym krokiem wyszedł na ulicę. Gwar znacznie ucichł, nie było widać samochodów, a z tłumu ludzi pozostało jedynie kilka kręcących się w tą i z powrotem dziwek...

Z pewnym trudem, ale ustawił i unieruchomił piłę w pozycji, jaka wydała mu się najlepsza. W asyście głośnego gwizdu tarcza zaczęła się obracać. Mefisto obrócił się, ukucnął i ostrożnie odchylił w stronę ostrza. Trochę szarpnęło, iskry posypały się na ziemię, a okropny jazgot rozszedł się echem pomiędzy domami.

"Pewnie zaraz wezwą policję, za zakłócanie ciszy nocnej" - pomyślał, ale nie przejął się i ponownie dotknął łańcuchem do piły. Nacisnął mocniej, ale nie bardzo mu szło. Żeby choć mógł widzieć, co robi...

- Czekaj, pomogę ci. - Mefisto z niedowierzaniem spojrzał na długonogą blondynką o anielskich włosach, ustach rozplamionych krwawą pomadką i wielkich, smutnych oczach. Dziwka schyliła się, nie dbając o to, że króciutka spódniczka odsłoniła jej pośladki, złapała łańcuch i precyzyjnie skierowała go na ostrze...

Ból był okropny. Skrzydła były zdrętwiałe, kilka kości pękniętych, wyłamane stawy i porwana błona. Mefisto zacisnął zęby i zmusił się do jeszcze jednej próby. Skrzydła powoli rozpostarły się. Dziwka uśmiechnęła się smutno:

- Powodzenia.

Spojrzał na nią jeszcze raz. Była aniołem... kiedyś. Mogłaby też spróbować...

- Żegnaj - odpowiedział i powoli, trochę niepewnie wzbił się w powietrze. Już będąc ponad dachami zobaczył niebieskie światła radiowozu i funkcjonariuszy wpatrujących się w nocne niebo.

- Mam was wszystkich w dupie! - Krzyknął najgłośniejszym jak potrafił i wzbił się wyżej...

Mefisto znów, z bólu ronił krwawe łzy, ale był wolny i to dawało mu siłę. Nie poddał się, gdy z przerażeniem patrzył jak na ziemi uporano się z jego panem. Kilka dni obserwował Lucyfera, jak z teczką biega po urzędach i knajpach, jak zamyka się we własnej skorupie, od czasu do czasu wychylając tylko głowę podczas wizyt u psychoanalityka. Potem odleciał i starał się zapomnieć. Zza chmury patrzył, jak kilku robotników przybija boga do zachodniego skrawka nieba. Długie gwoździe unieruchomiły wszechpotężnego, a nad nim zawisła tabliczka "BÓG".

- Teraz wszystko jasne! - Cieszyli się robotnicy - Bóg jest, wiadomo gdzie go szukać, jak wygląda i co robi. I przede wszystkim do niczego się nie wtrąca.

Długie drabiny ściągnięto w dół i w niebiosach zapanował smutny spokój. Samoloty wtedy nie latały, a dla ptaków było za wysoko.

"Może go uwolnić?" - Pomyślał Mefisto, lecz nie uczynił tego. W końcu, to był jego sukces. Wielki ojciec przegrał...

Mefisto był sam. Wylądował w cichym lesie, z dala od miast i wiosek. Nie miał ochoty na nic. Patrzył jak wilczyca uczy swoje szczenięta trudniej sztuki zabijania...

Snajper był daleko, ale miał za sobą świetne wykształcenie, doskonały karabin i wzrok. Przyłożył oko do szkiełka i pociągnął za spust. Srebrna kula z świstem pomknęła ku swemu celowi. Precyzyjnie przeleciała pomiędzy gałęziami, obok pni. Z głuchym tąpnięciem uderzyła w pierś, wbiła się, rozerwała tkanki. Spłoszona wadera i jej potomstwo czmychnęły w głąb lasu.

Mefisto powoli złożył skrzydła i umarł.

11.2005

LCF

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bury_wilk, dodano 11.12.2007 14:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.